Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 26. Czerwca 1881 r. Tom XII.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 26.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—11 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

OPERACJA FINANSOWA NA ŻYDACH.

OBRAZEK ZE WSPOMNIEŃ PRZESZŁOŚCI

skreślił

M. STARCZAK.

(Ciąg dalszy.)

W pół godziny potem staliśmy już we troje na szczycie wałów, rozglądając się na wszystkie strony. Dzień był jasny, słoneczny... widok przecudny — na każdą stronę. Za nami Kamionka (majętność Hłasków), na lewo Zielona-Łąka, rezydencja letnia generała Frołowa, jednego z faworytów Mikołaja i szalonego karciarza, a dalej inne wsie i ciemny bór na widnokręgu nad Dźwiną, a wsie obramowane zwierciadlanym wylewem dwóch rzek. Przed nami Dzisna, Doroszkowicze — i jak rzucić okiem... woda i woda.

— Ach, Jakże tu pięknie! jak pięknie! — wołała zachwycona Saszka. Czy tu tak zawsze?

— Nie zawsze — odpowiedziałem. — Wody opadną, ale zaraz potem znów co innego. Dźwiną massa strug płynie ze zbożem i rozmaitemi wyrobami do Rygi. Jedne mijają Dzisnę, inne się zatrzymują i na hurt kupcom tutejszym sprzedają wyroby fajansowe, gliniane, toczone z drzewa i stolarszczyznę. Ruchu wtedy pełno na wodzie i naszym brzegu. Potem... drzewa się pokrywają zielenią i umajona cała ta wyspa... słońce, kwiaty, słowiki. Tu nie takie odludzie, jak pani Dzisnę wyobraziłaś sobie.

— A ten Batory — zapytała się Saszka, — on tutaj stał?

— Tutaj — odpowiedział jej Pietio. Ot widzisz, tam... jak ten dwór — nazywa się Kamionka — i pokazywał palcem: na nizinie tej stały wojska Iwana, a tu Batory. No i walaj!... puszczał kule, jedna za drugą huczały armaty, więc drużyny Iwana nie wytrzymały... i w nogi.

— Ach, ten Iwan! Iwan! — medytowała boleśnie Saszka. Był — powiadają — Groźny a to... durak — i tyle! Stanął w takiej nizinie... nic dziwnego, że bitwę przegrał.

— On tam nie wybierał placu boju dla siebie. Zajmował wpierw Dzisnę i w tych się trzymał okopach... ale Batory i Dzisnę i te okopy zdobył, a Groźny ustępował — odstrzeliwał się tylko. Rozłożył się w tem miejscu, jak teraz Kamionka, chciał tu Batorego wywabić na czyste pole. Wywabił... i zmykał następnie dalej — aż do Połocka.

— No, no... co mi za wielki królik, taki Batory! Niechaj by teraz tu przyszedł!...

Była zagniewana i tupała nogami, jak gdyby chciała porażkę Iwana wyrugować z pamięci i wtłoczyć w ziemię.

— Teraz? — dorzucił Pietio, — a kto ci powiedział, że to samo jeszcze nie będzie? Nie Batory, to inny... przyjdzie i jak się to skończy, nie nasza w tem głowa. Ot, patrzaj... jakie to kule tkwią w szczycie kościoła... widać aż ztąd. Takiemi kulami bronił się Groźny, ale jak mu Batory nasiadł na pięty, to i ustępował, aż za Psków, za Wielkie-Łuki... het! het!... tam gnał Batory ruskie Iwana drużyny.

— Gdzie kule?

I Saszka wpatrywała się w szczyt kościoła, ręką przysłaniając oczy od słońca.

— Da, prawda!... Ale co ty tam gadasz... »przyjdą«... kto się ośmieli teraz? Ty sprawnik, a takie rzeczy mówisz. Jabym ciebie sama wzięła pod klucz i posadziła na chleb i wodę, daj mnie tylko władzę gubernatora.

Pietio śmiał się na głos.

— Co tu pomoże władza gubernatora! Nikt nawet nie potrzebuje przychodzić. Jak widzisz naokoło te wsie... nadejdzie pora, a wszystkie powstaną. Ot i bankiet... sprawiaj się z nimi!

— Nikt nie powstanie... nie! — krzyczała Saszka. — Tu naokoło lud ruski.

— Tak sądzisz?... Pomówże z nimi, zapytaj chłopa... ba! popów nawet. To wszystko świeżo nawróceni na wiarę naszą. I jak jeszcze trzeba było nawracać! Ledwo parę miesięcy jak w Leonpolu skończono... niesłychana zażartość! Był gubernator, był sam Siemaszko... i cóż? Trzeba było wojsko sprowadzać, zbić na gołem ciele tyle fur pałek... wtedy dopiero poszli do naszej cerkwi... I myślisz, że z przekonania chłop do tej cerkwi chodzi? Gdzie tam! My w jego oczach zawsze Moskale... on zaś... ho! ho!... jak trzeba będzie, skoczy przeciwko nam.

Prawdę powiedział sprawnik. Było tak.. było! Nie umieliśmy tylko sił tego ludu użyć — a raczej, zużyliśmy i zmarnowali. Pamięć o unji jest jeszcze, ale się w młodem pokoleniu zaciera. Nie brata się i to pokolenie z Rosjanami, za przybyszów i obcych ich poczytuje, lecz jakaż dźwignia poruszyć zdoła ten lud, żeby — jak Brańców powiedział — skoczył on przeciw ciemięzcom? Nie tego zresztą potrzeba dzisiaj! Pracy, spójni wsi z dworami, jedności i zgody, a lud podnieść z ciemnoty i upodlenia... to nasza droga. Czy pójdziemy nią zgodnie a umiejętnie, razem i wszyscy... wielkie pytanie! A bez tego ani rusz dalej.

Saszka była zasłuchaną w słowa Pieti, a oczy iskrzyły się, głową trzęsła przecząco i twarz miała rozpłomienioną. Skoń-

czył... ona krzyknęła głośno, tupiąc znowu nogami:

— Nie prawda! Siła zawsze jest siłą. Kto ma władzę, niech trzyma... wot tak — i zaciśniętemi pięściami wytrząsała Pietiowi. Do powstania tu nigdy nie przyjdzie.

A jednak przyszło! Ile razy czytam poglądy Rosjan na kwestję zgody z nami w krajach zagarniętych przemocą i w podległości tylko siłą trzymanych, zawsze staje mi przed oczami owa wycieczka na okopy Batorego w Dziśnie. Sprawnik Brańcow i Sasza, to upostaciowanie różnicy w zapatrywaniu publicystów rosyjskich. Sprzeczka o system, więc jedni są ustępujący, drudzy twardo trzymają się faktów spełnionych. Sasza do ustępstw na jedną jotę nie była skłonną, zaś Pietio uznawał całą niewłaściwość rządowego systemu, a razem do współki byli gotowi brać łapowe, korzystać z kraju i swego w nim położenia. Czy Sasza lub Pietio służyli Rosji, rządowi? Kieszeń, własne wygody — to był ich cel. Tutaj tych poglądów rosyjskich w kwestji polskiej różnica. Czy będą i kiedy zaczną to pojmować inaczej?... Daj Boże upamiętanie!

Łódka nasza z przewoźnikiem stała przy wałach. O zachodzie dopiero wróciliśmy do domu i Saszka znów była nadąsana. O ile ją oczarował widok z okopów na okolicę, o tyle rozmowa z Pietią zirytowała.

— Kiedy macie jechać? — rzuciła zapytanie Pietiowi.

— Mówiłem ci... jutro.

— Jedźcie sobie, jedźcie! Ja co dzień będę na wałach, bo mnie tego widoku zawsze będzie za mało. I lepiej, że jedziecie, nikt mi przynajmniej takiemi głupstwami, jak twoje, uszu razić nie będzie. A tylko — pamiętaj!... bez rubli nie wracać!... ani się waż!

Pozostawało do zdecydowania, jak pojedziemy. Od miasta w kierunku naszej drogi zalew Dzisienki sięgał cztery wiorsty, co najmniej. Naradzałem się w kwestji tej ze sprawnikiem.

— Szkoda — powiedział — żeśmy nie pomówili z p. Kamińskim, on tym traktem przyjechał. Z miasta, naturalnie, łódką jechać wypadnie, a dalej poradzimy sobie przecież... weźmiemy konie z najbliższej wsi.

— Najgorsze to — zrobiłem uwagę— że łódki nie dochodzą do końca zalewu. Dla nich za płytka woda, piechotą jej znowu za dużo i z wiorstę wypadłoby brnąć po kolana, a bryczki z tamtej strony nie mamy.

— Poczta z miasta da nam konie wierzchowe, powieziemy je w łodzi, a one nas za to do końca wylewu zawiozą.

Stanęło na koniach wierzchowych.

Nazajutrz o ósmej rano byliśmy już gotowi do drogi. Dwie łodzie na brzegu Dzisienki czekały. Przyprowadzono konie pocztowe, dwa pod siodłami, a trzeci dla pocztarza, miał tylko na sobie derę przypopręgoną. Konie do jednej łodzi wprowadzono, myśmy siedli do drugiej.

Przewoźnicy zręcznie robili wiosłami, omijając miejsca wynioślejsze, i łodzie posuwały się szybko, jednak dobrą godzinę nam ta żegluga zabrała. Nastąpiło wylądowanie. Jak przewidywałem, do końca zalewu mieliśmy blizko wiorstę, a łódki dalej już iść nie mogły.

Dosiedliśmy naszych wierzchowców. Były to szkapy, najgorsze z najgorszej stacji w Dziśnie, przez żyda utrzymywanej, którym na bokach wszystkie żebra można było policzyć. Siodła poobrywane, poslizki powiązywane sznurkami, trzeba było wielkiej uwagi i wielkiej wprawy do konnej jazdy, żeby z takiego siodła nie zlecieć. Obadwa w futrach do ziemi, zawinęliśmy poły... i w imię Boże! dla obdzierania żydów, a raczej, w imię tych praw, jakiemi rządzone są kraje polskie w rosyjskim zaborze, od Dzisny do Wisły i aż za Wisłę. Dla utrzymania charakteru urzędowego brakło nam tylko dzwonka, obwieszczającego ludziom na okolię przelot dwóch sił niszczących, sprawnika lub assesora, brakło, sygnału ich powagi i władzy. Pocztarek jechał przodem, my za nim; o trzymaniu się drogi nie było mowy, baliśmy się przeto obadwa, żeby gdzie nie natrafić na jaki wądół lub jamę. Niech ginie przewodnik, my zdążymy zwrot zrobić, gdy tego będzie potrzeba. Tak to się człowiek posługuje człowiekiem, oszczędzając swoją głowę, a nadstawiając cudzą, nie raz dziesiątki, czasami tysiące tych cudzych głów! Nazywa się to »dobrą sprawą«, jak ta n. p. nasza na Głębokie wyprawa, z zamiarem obłowienia się na żydowskich kieszeniach. I z tem wszystkiem zwierzchnik mój miał przekonanie, że on lepszy od innych, że od pocztarka potrzebniejszy dla społeczności, kraju, państwa, dla rządu, tego rządu, którego ukazy mają jakoby być prawem. Prawo... a oddaje pod władzę sprawników — pocztarka, chłopów, żydów, szlachtę i wszystko co jest na ziemi i w ziemi, w skrzyniach, szufladach, wszędzie. Obowiązywać to ma sprawników do czuwania nad ludźmi, ich bezpieczeństwem i dobrem, w gruncie zaś zwierzchnictwo to ich polega na dowolności, na obdzieraniu wszystkich, rabowaniu wszystkiego, nawet z pod zamków i z najtajniejszych kryjówek. Co to są warte te zamki nasze i tajne kryjówki! Kłódka dla zwykłego złodzieja jest niczem, gdy bogacz pragnie zabezpieczyć nią skarby nagromadzone w miejscu odludnem, złodziej przyjdzie z młotem, z witrychem, rozbije kłódkę i skarby zabierze. Tak samo z zamkami i kryjówkami naszemi przed sprawnikiem i assesorem... otworzą je mocą ukazów: z pod zamka i z kryjówki zabiorą co twoje i obrabują na własną korzyść, w imię carskich ukazów.

»Macie prawo skargi«, odpowiedzą nam na to publicyści rosyjscy, jak na wszystko w tym sensie odpowiadają. Tak, mamy to prawo, ale skarga przeciw jednemu rabusiowi, dochodzi rąk drugiego i ma być przez niego rozpoznawaną, więc poprzeć ją wypada resztą twego mienia, nim odbierzesz, to co ci zabrano. A pytanie jeszcze czy się nie zwąchają rabusie i pierwszy po połowie nie podzieli się z drugim... a wtedy? Wtedy dla ciebie kryminał, Sybir, boś spotwarzył na urzędzie człowieka, piastującego władzę i zaufaniem rządu obdarzonego.

Napatrzyłem się na te dziwy, miałem czas poznać z bliska obrotność i te łamane sztuki urzędników rosyjskich. Dwa lata aplikacji i cztery urzędowania jako maszynka do pióra i ręka tych »wykonawców prawa«... dość czasu! Ale to było dawno, przed wyjściem na emigrację, za Mikołaja. Rosjanie sami nie przeczą dowolnościom z tego okresu. Tak, prawda, sprzeczki tu być nie może. Lecz Rosjanie utrzymują, że za rządów Aleksandra II dowolność usunięto, zapanowało prawo. Niestety! Miałem nowych lat siedm czynnej służby w urzędzie pod kierunkiem komitetu urządzającego w Królestwie, kiedy dawne formy łamano i przechodzono, jakoby do ulepszenia. Przysłano do Polski *wybór* urzędniczej z Rosji posługi... miałem znów czas widzieć na własne oczy i poznać, jaką to drogą do pojednania z Rosją komitet urządzający i spadkobiercy jego obecni prowadzą Polskę. Znowu Brańcowy i Bogusławscy, a zbrakło któremu dla siebie lub dla kochanki Saszy środków na stroje, hulanki, rozpustę... idź, szukaj, bierz, polskie kieszenie na to starczyć powinny. Czasy Mikołaja i Aleksandra II... żadnej różnicy — najmniejszej! I nie może być inaczej, nigdy i nigdzie, na całym świecie, gdy obcy żywioł wprowadzony zostanie do władzy nad krajem. On wykonywa tę władzę w imieniu panującego plemienia, a więc nie rządzi ale panować pragnie, modyfikuje, przerabia prawo, jeden przeróbki te zaprowadza dla tego, że swoje poglądy uważa za praktyczniejsze, pewniejsze, lepsze, a inny znowu robi to samo w widokach własnej korzyści. I oto dla czego cała Polska woła jak jeden człowiek, że my nie mamy prawa, że dowolność urzędnicza nad nami zapanowała. Publicyści rosyjscy inaczej jakoby to widzą.

Czy rzeczywiście tak widzą, czy tylko udają? Co do mnie, nie przypuszczam, żeby wszyscy byli ludźmi złej woli. Prawo, co do litery, jak naprz. sam ukaz o uwłaszczeniu (bez dodatków późniejszych), jak organizacja samorządu gminnego, jak nowe ustawy sądowe, trudno temu zaprzeczyć, rzeczywiście są dobre; idzie zatem, przez kogo są wykonywane, aby kraj z tego odniósł pożytek? Otóż w tem leży kwestja cała. Zapatrzeni w literę ustawy—a w Rosji ocenia się wszystko wedle »bumagi« — są tego przekonania, że wszystko tak jest, jak czytają w tychże »bumagach«, nie domyślać się wcale, jak ta sama rzecz w wykonaniu wygląda. Tu jest ten grunt, na którym zejść się nie możemy, żeby jednostajnie rzeczy oceniać, wedle ich rzeczywistej wartości. Ale czyż się godzi w kwestjach takich, jak rządy kraju, jak ta okrzykiwana »jedność i zgoda«, mówić tylko na pamięć? Niech dotrą do ludzi krzyczących na samowolę i nadużycia, niech zapytają o fakta, dowody, a szeroko otworzą oczy i razem z nami krzykną przeciw temu, za czem tak dzisiaj obstają.

I oto zkąd to pochodzi, że w narodzie coraz mniej zaufania do rządu, a rząd znowu swoją koleją co raz to więcej ma

zakulisowych kłopotów i niepewności. Zmiana ludzi, obcych na narodowców, od razu temu koniec położy i stosunki wyrównywać się zaczną.

Odbiegłem nieco od przedmiotu, wracam więc do dalszego ciągu wyprawy sprawnika Brańcowa po złote runo, kryjące się w żydowskich bożnicach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

AUSTRJA, NIEMCY I SŁOWIANIE

UWAGI POLITYCZNE.

(Przekład z rosyjskiego.)

(Ciąg dalszy)

A teraz wynika samo z siebie zapytanie: kto stworzył albo przynajmniej przygotował dla planów Austrji glebę, kto Habsburgom podał możność wystąpienia w nienaturalnej dla nich roli ochronicieli i obrońców narodowości i jej praw naturalnych? Kto przymusił nieledwie Słowian do tej konieczności, że słuchać muszą obietnic Habsburgów i we wczorajszych wrogach widzą jedynych w przyszłości obrońców? Rozumie się, że ten kto dał im powód myśleć, iż nastąpi czas, gdy będą potrzebowali takiej obrony, ten kto wpoił w nich słuszną obawę nie tylko o wolność religijną ale i o samoistność narodową. A któż to uczynił jeżeli nie ci sami rosyjscy mężowie, którzy ogłaszali dogmat tożsamości prawosławia z słowiańskością! Nie mam prawie sumienia wspominać o oklepanem i przeoklepanem frazesie o „zlaniu się słowiańskich strumieni w rosyjskiem morzu,“ lecz, niestety milczeniem pominąć go nie można, tak wiele ten złowrogi frazes uczynił nam szkody w naszych stosunkach ze Słowianami. Sam z siebie, frazes ten, oczywiście nieszkodliwy i przebrzmiałby bez echa, jak wiele innych frazesów przedtem i potem. Alboż to jedno zdarzy się czasem poecie powiedzieć po prostu dla dźwięczności wiersza! Znaczenie stanowczej szkody, a przytem bardzo wielkiej szkody historycznej nadały temu frazesowi, po pierwsze, ten użytek, jaki zrobili z niego nasi słowianofile *en titre*, powtóre, zupełnie przypadkowa lecz nie mniej fatalna styczność jego z tendencją naszej polityki wewnętrznej. Po mnóstwie słusznych dyssertacyj, bezużytecznem jest może przytaczać nowe dowodzenia o znaczeniu języka w życiu narodowem w ogóle, i, w szczególności w życiu plemion słowiańskich, dla których był on nieledwie jedynym czynnikiem odrodzenia. Również bezużytecznem być może wdawać się w szczegółowe wywody smutnej roli jaką grała i gra w między-słowiańskich stosunkach ta okoliczność, która w nieszczęsnym poemacie z którego wziętym jest i frazes o „zlaniu się strumieni,“ nazwaną jest „Sporem Słowian pomiędzy sobą.“ Jam nie uczony specjalista, a tylko prosty spostrzegacz współczesnego życia, poznajomiony z sympatjami i opinjami Słowian przez osobiste z nimi stosunki, podczas częstego i dość długiego pobytu mego w różnych słowiańskich ziemiach, gdzie zdarzało mi się stykać i rozmawiać z ludźmi najróżnorodniejszych stanów — ja mogę tylko, że tak powiem, illustrować poglądy, wypowiedziane już o tej materji w „Wiestniku Europy“, kilkoma opowieściami z mych wspomnień, które, jakkolwiek prywatne, nie są pozbawione wagi. Przedewszystkiem, w żadnej ze słowiańskich ziem, ja nie widziałem „Słowian.“ Widziałem Czechów, Polaków, Ruskich-Rusinów-Ruśkich (jak się komu podoba ich nazywać: sami oni używają i pierwszego i drugiego i trzeciego miana, stosownie do tego, do jakiej należą partji) Słowaków, Chorwatów, Serbów, Bułgarów, spotykałem Czarnogórców, lecz nie widziałem „Słowian“. Pojmowania słowiańskiej idei, poczucia wspólności słowiańskich interesów, poważnych sympatyj i wzajemnego ciążenia nie mogłem zauważać pomimo wszelkich starań, w żadnej z wyliczonych narodowości. Osobistości, należące do inteligencji, przy spotkaniu z Rosjaninem, rozpoczynają zazwyczaj mowę od wyjawienia swoich najczulszych uczuć dla Rosji i gorących dążeń do słowiańskiej solidarności. Lecz przy dalszej znajomości, Rosjanin ten, jeżeli tylko naprzód powzięta idea nie zaćmiła mu umysłu i nie pozbawiła go zdolności jasno patrzeć na rzeczy i na ludzi, przymuszony bywa bardzo prędko przyznać się, że u ogromnej większości, jeżeli nie u wszystkich Słowian, cała ta mowa jest pustym dźwiękiem, obliczonym na rosyjską łatwowierność, że na jej spodzie nie leżą żadne rzeczywiste sympatje, żadne dążenia, ale poprostu prywatny interes tej narodowości, do której należy mówiący, a czasami nawet jego interes osobisty. Rozmowy z Serbami przekonają każdego, że oczom ich panslawizm przedstawia się jako potężna machina, która im dopomoże zjeść całkiem Chorwatów, przełknąć kawałek ziemi bułgarskiej, z jej nienawistną im ludnością, zetrzeć z oblicza ziemi Albańczyków, oderwać od Madjarów tę część Węgier, która w zapadłej mgle wieków należała do Serbów, nakoniec w kształcie apoteozy tego wszystkiego, przeszkodzić dalszemu samodzielnemu istnieniu Czarnogóry, mniej lub więcej samodzielnemu rozwojowi Bośnji i Hercegowiny. Słowem, panslawizm, powinien, zdaniem Serbów, stać się narzędziem i sługą innego, jedynie im drogiego pan-serbizmu i stworzyć dla Serbów to, nigdy w rzeczywistości nie istniałe Carstwo cara Duszana, o którem ten znakomity serbski monarcha marzył, lecz którego nie zdążył urzeczywistnieć. Bułgarzy ze swej strony także mają w głowie swój prywatny pan-bułgaryzm, któremu panslawizm również powinien służyć za narzędzie, pomagając im przedewszystkiem uwolnić się ostatecznie od Turków, następnie podając im smaczne półmiski z Serbów i Rumunów, dalej — i to rzecz główna — powinien zniszczyć wiekowego wroga Bułgarów — Greków i nakoniec, rozprzestrzenić Bułgarję od morza do morza, z przyłączeniem rozumie się, Konstantynopola. Czechom, panslawizm powinien odświeżyć starą koronę Św. Wacława, i połączyć na nowo ziemie „Czeskiej korony“, poczem już Czesi spokojnie oddadzą się spełnieniu swej obecnej historycznej missji, to jest kształceniu innych nieociosanych Słowian. (Po części już rozpoczęli. Nie mówiąc o czeskich u nas pedagogach, cieszących się zasłużoną sympatją całego rosyjskiego społeczeństwa, massy Czechów ponajeżdżały do Bułgarji, zwłaszcza do Ruszczuku i Sofji, i pootwierali tam różne handlowe i restauracyjne zakłady i *niemieckie* szkoły). I tak każde z plemion słowiańskich. Stosownie do sił swoich i dążeń, wszystkie liczą że się pożywią czemkolwiek ze szczodrobliwości potężnego „panslawizmu“, ale samego tajemniczego tego nieznajomego nikt nie rozumie, nie zna i poznać sobie nie życzy. Wiadomo jedynie, że głównym przedstawicielem i przewodnikiem „panslawizmu“ jest wielkie, bogate i strasznie silne mocarstwo, Rosja a po zatem żadnej innej znajomości massa Słowian nie czuje potrzeby. Nie czuje zaś dla tego, że bezwarunkwo wszyscy Słowianie nie Wielkorussy, i panslawizmu i Rosji śmiertelnie się obawiają. I obawa ta ich najzupełniej jest naturalną. Nawet niezależne od wszelkich faktów dotykalnych, samo wyobrażenie o potędze tajemniczego panslawizmu i jego przedstawicielu Rosji, zawierało w sobie coś strasznego dla słabych i małych ludzi, w których mimo ich woli sama przez się rodziła się myśl: a co, gdy ten bohater, zjadłszy wszystkich moich wrogów, połknie potem i mnie samego? Kto go tam wie, jaki on ma apetyt! A tu jeszcze i fakta dotykalne składały się tak, ażeby rozbudzać i rozwijać tę myśl, z mimowolnego i przelotnego podejrzenia przekształcać ją w wyrozumowany strach, przed kroczącem, dla wszystkich jasnem niebezpieczeństwem. Rosjanie, przyjeżdżający do Słowian, ażeby ich studjować i zapoznać z sobą, opłakując los biednych „słowiańskich strumieni“, rozwodzili się głównie nad obszarami i groźną siłą „rosyjskiego morza“ i nad koniecznością dla strumieni zlania się co prędzej z tem morzem, ażeby razem utworzyć panslawizm. Pierwszym krokiem do tego szczęśliwego zlania się miało posłużyć wyuczenie się przez wszystkich Słowian rosyjskiego języka, przy czem jednakże, nikt, ani razu nie przebąknął o koniecznej w tym względzie wzajemności, o tem, ażeby i Rosjanie z swej strony uczyli się języków słowiańskich. Byli co prawda, i między Słowianami uczeni, którzy, podszywając się pod ton „starszych braci“, pisali o idealnej szczęśliwości zlania się i o korzyściach wspólnego dyplomatycznego i literackiego języka. Jedni z tych uczonych bardzo szczerze łudzili sie swymi wywodami, drudzy zaś... Niektórzy z naszych dyplomatów mogliby, gdyby chcieli, powiedzieć, jaką to była ta szczerość, i co ona była warta w sprawie zbliżenia nas do Słowian,— czy zbliżała nas rzeczywiście, czy rozdzielała jeszcze bardziej. Lecz szczerzy czy nie, uczeni ci, stali zupełnie odosobnieni wśród swego narodu. Naród wszędzie, bez względu na mały jego rozwój w większości plemion Słowiańskich, instynktownie czuł, jeżeli nie pojmował świadomie, cały fałsz tego, co mu głoszono. Nieliczna inteligencja słowiańska zrozumiała, że po za temi dźwięcznemi i na oko niewinnemi wyrazami „język dyplomatyczny i literacki“, ukrywa się dążność do stopniowego, lecz pewnego zatracenia wszystkich słowiańskich języków, oprócz rosyjskiego, który przy tej okoliczności sam jeden uznano godnym nazwy języka, reszta zaś mianowała się narzeczami. Że pisać, to jest dobrze pisać, tworzyć w języku, którym wszyscy w około nie mówią, którym nie mówi się u siebie w domu, w rodzinie, niepodobna, to jasnem jest dla każdego piśmiennego człowieka. A ponieważ wśród młodszych braci Słowian, nie wyjmując nawet wczoraj zaledwie wyszłych z kolebki (raczej z grobu) Bułgarów, daleko więcej jest piśmiennych niż u nas, starszych braci, to oni bardzo prędko pojęli, że wprowadzenie literackiego pokrewnego, lecz nie narodowego języka, sprowadzi język narodowy do stopnia grubego, pospolitego, miejsco-

*

wego narzecza, dla domowego użytku, rozmówienia się ze służbą, z przekupkami na targu i t. p., w szkole zaś, pozostanie on co najwięcej jako środek pomocniczy do objaśnienia niezrozumiałych rzeczy dzieciom, a i to nawet czasowo, dotąd cała masa nie nauczy się języka literackiego, który przyjdzie się, rzecz jasna, wprowadzić nawet do szkół ludowych, gdyż w razie przeciwnym lud zostałby odcięty od literatury, czyli inaczej mówiąc od kultury. No, a co znaczy dla narodu jego rodzinna mowa, jak mu ona jest drogą, wszystko jedno czy to będzie literacko obrobiony „język światowy“, czy tylko proste, nawet barbarzyńskie pierwotne „narzecze miejscowe“, to mogą w zupełności zrozumieć tylko ci nieszczęśliwi, którym zakazują mówić ich własnym językiem, których siłą zmuszają uczyć się obcego. My, Rosjanie, należymy do tych szczęśliwych narodów, których język, nigdy, nawet podczas tatarskiego najazdu, nie ulegał prześladowaniu; dla tego też, ci z nas tylko mogą wyrobić sobie przybliżone pojęcie o okropności i okrócieństwie pozbawienia narodowego języka, którym zdarzało się czas długi mieszkać za granicą, nie spotykając żadnego Rosjanina i nie słysząc rosyjskiego wyrazu. Mnie się to zdarzało, i dla tego, być może, zaległo tak silnie w mej duszy przekonanie, że nie ma na świecie miary tak oburzającej i nikczemnej, jak pozbawienie plemienia jego narodowej mowy. To gorszem jest aniżeli średniowieczne prześladowanie za religję, dla tego, że gorącość uczucia religijnego nie u wszystkich jest jednakową, więc i cierpień z podeptania tego uczucia doświadczają nie wszyscy i nie w równym stopniu, gdy tymczasem prześladowanie mowy ojczystej dotykając jednakowo wszystkich, wszystkich bez wyjątku przymusza cierpieć, ogólnem, gorzkiem, palącem cierpieniem. Tak, jest to środek nikczemny.... Głęboko jestem przekonany, że gdyby samemu p. redaktorowi „Rusi“ naprzykład, przyszło, tak, choć trzy--cztery miesiące przemieszkać samemu, chociażby w tej samej Bułgarji, gdzie przecież mówią po rosyjsku, lecz źle, bardzo źle, nigdy by mu nie było przyszło do głowy tak natarczywie radzić Bułgarom ażeby wyrzucili ze swego literackiego języka przyrostek *to*, a do tego motywować swą radę tem, że bez tego przyrostka, *język bułgarski zbliży się do rosyjskiego*. Tem tylko mogę objaśnić sobie tę — podaną młodemu narodowi już po jego oswobodzeniu, radę, że p. Jan Aksakow bardzo rzadko wydalał się z Moskwy, a więc nie może pojąć całej głębokości namiętnego przywiązania narodu do mowy ojczystej i do jej najmniejszych właściwości. Bułgarzy w Rumelji wschodniej, nie mieli śmiałości oprzeć się powadze p. Aksakowa i wydali kilka książek, bez znienawidzonego przezeń przyrostka, lecz mogę zapewnić, że książki te nie stały się jednem więcej ogniwem łączącem Bułgarów z nami. I będzie jeszcze dobrze, jeżeli nie legną one zbytecznym kamieniem w murze, który, być może, z czasem oddzieli Bułgarów od nas. Przyrostek *to* nie ma sensu, psuje on i tak już dość gruby język bułgarski; przeciwnym on jest duchowi słowiańskich języków w ogóle, z których ani jeden, prócz bułgarskiego, nie ma podobnego przyrostka. Lecz właśnie dla tego, że stanowi on charakterystyczną, etnograficzną właściwość bułgarskiego narodu, t. j. narodu, który tylko co niedawno i to jeszcze niezupełnie, wyswobodził się ze strasznego ucisku, i któremu nadto może oddać nieocenioną usługę, gdy rzecz dojdzie do rozbioru praw bułgarsko-serbskich, praw do graniczących z Serbją części Macedonji i tak zwanej Starej Serbji, właśnie dla tego przyrostek ten należało oszczędzić. Przynajmniej, być może, nie należało przytaczać rzeczonego motywu z tego względu, po pierwsze, że Bułgarom znane są liczne traktaty przyjaciół p. Aksakowa o zlaniu się (nawet i teraz „Ruś“ zamieściła szereg artykułów, traktujących o znaczeniu „światowego języka rosyjskiego“ i o *prowincjonalnych*, miejscowych, słowiańskich narzeczach), i po drugie, z tego względu, że wśród Bułgarów działał, choć nie długo, również przyjaciel p. Jana Aksakowa, nieboszczyk książę Czerkasski. Być może, że niesprawiedliwie i mylnie, lecz Bułgarzy ocenili działalność nieboszczyka księcia w takim sensie, że pochodzące z Moskwy rady, zwłaszcza motywa ich, w rodzaju tych, o którym mowa, sprawiają na nich szczególnie nieprzyjemne, a dla nas Rosjan, sądzę, bardzo niepożądane wrażenie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WSZYSTKIM DOGODZIĆ NIE MOŻNA.

Świat ten jest siedliskiem nędzy,
Gdzie spojrzeć, to się rozparła!
Tak potrzebuję pieniędzy,
Że djabłubym wydarł z gardła.

Żona w Ems, i to za cudze,
Andzia mówi że ją nudzę,
Długów po uszy,
Żyda i łzami nie wzruszy,
Nie da na najświętsze cele!
Do licha, w łeb sobie strzelę.

Nie. Samobójstwo, w praktyce
Rzecz głupia, trąci warjacją...
Niema co — środka się chwycę
Co dziś jest *ultima ratio.*

Jestem kasjerem — więc z kasy
Pożyczę — a w lepsze czasy
Napowrót włożę.
A gdyby?... Wszystko być może....
Ha, zrobię jak pan Makary:
Wziął grubo — adieu świat stary!

Będzie wrzask, wiem, mnóstwo osób
Ryknie, że to jest rzecz zdrożna...
Ba! niech dadzą lepszy sposób!
Wszystkim dogodzić nie można.

M. Rodoć.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Ociepliło się przecie i pogoda letnia ustatkowała, więc kto żyje i pragnie zaczerpnąć świeżego powietrza, puszcza się na zamiejskie przechadzki. Zamożniejsi układają plany do wycieczek za granicę lub miejsc kąpielowych w kraju, a ci, którym kieszeń i obowiązki na to nie pozwalają, częstują się przy altanie p. Ignatowicza w miejskim ogrodzie, Mühlbrunem, Szprudlem, wodą Emską, Franzensbadem i tym podobnemi specjałami, mającemi zdrowie powrócić. Dziwna rzecz, iż Lwów, takie duże już miasto, nie może się zdobyć na zorganizowany porządnie zakład do picia wód z galerją krytą do spaceru podczas deszczu, z muzyką, któraby uprzyjemniała dreptanie pijącym. W Warszawie naprzykład, sezon wiosenny picia wód, w ogrodach Saskim i Krasińskich sprowadza co rano setki pijących i niepijących, a nawet wytwarza nowe mody do rannej negliżowej przechadzki. Na wodach takich rozmowa i nowe znajomości zabierają się bardzo gładko, a że jak wiemy naczczo łatwiej odbywa się transmisja uczuć, więc czasem te ożywione rozmówki poranne prowadzą dalej, niż sobie tego brodaci kuracjusze życzą. Otóż, czyby nie spróbować podobnej wystawy negliżyków i we Lwowie, tembardziej, że podług ostatniego spisu ludności, posiadamy o pięć tysięcy więcej kobiet niż mężczyzn, to jest, że każdy z nas może poślubić jednę, i jedną dziesiątą kobiety, aby utrzymać równowagę płci i uczuć. Po takiem wyjaśnieniu, spodziewam się, że szanowne małżonki nasze nie mogą nam wziąć za złe strzelistych spojrzeń rzucanych przez poważnych nawet mężczyzn ku obcym kobietom, bo nie jest to już żadna chęć przeniewierzania się, lecz poprostu instynkt sprawiedliwości statystycznej, wymagającej 10 procent dodatku do naszych obowiązków względem płci pięknej.

Oprócz pogody, ubiegły tydzień przyniósł nam mnóstwo nowin i faktów z codziennego życia stolicy naszej i kraju. — Odbyły się dwa festyny z loterją fantową w ogrodzie miejskim, takuteńkie same jak w latach przeszłych i zapewne z takim samym rezultatem dla insytucyj dobroczynnych. — Jużto nie bardzo bogaci jesteśmy w nowe pomysły — rok rocznie toż samo jak na rozkładzie jadła w szpitalu. Dalej mieliśmy zabawę pańską, tak zwane wyścigi konne, naśladownictwo bezmyślne lordów angielskich— tylko bez ich zapału i wpływu na chów koni w kraju. W zabawach takich bierze udział kilku tych samych corocznie sporstmanów, którzy rozgrywają między sobą bardzo skromne stawki, gdy przypatrująca się publiczność podziwia jaskrawe kurtki kreowanych na żokiei stangretów. Pan Wolski, poseł z miasta Lwowa do Rady państwa, spowiadał się ze swoich grzechów poselskich przed wyborcami, i trochę napsuł krwi krakowskiemu „Czasowi“. Mową jego, zapewne wskutek posuchy politycznej i nieco odrębnego od Koła polskiego stanowiska, zajmują się wiedeńskie i czeskie gazety tembardziej, że zgromadzeni w sali Ratuszowej wyborcy, w dość żywy sposób zaakceptowali poglądy szanownego posła. Dalej pan Miłaszewski dał parę przedstawień w teatrze dla włościan, sprowadzonych przez utworzony ad hoc komitet, i trzeba mu przyznać, dał bezpłatnie, co ze względu na trudne jego położenie, jako początkującego nateraz dyrektora teatru, jest bardzo szlachetnym i przychylnie ocenianym faktem ze strony naszej publiczności. Wyprawa pielgrzymów do Rzymu wypadła świetniej, niż się spodziewano i około 400 osób z Polski, znajdzie się na 5. lipca przed Ojcem świętym, prosząc o błogosławieństwo dla siebie i skołatanej nawy narodowej.

Zapowiedziana na maj Wystawa sztuk pięknych otwartą będzie dopiero d. 30 czerwca rb. O ile mogliśmy zaczerpnąć wiadomości, wystawa tegoroczna należeć będzie do więcej interesujących, albowiem między innemi dziełami sztuki, wystawione będą akwarele ofiarowane przez kraj arcy-księciu następcy tronu w dzień Jego

zaślubin. Z działu rzeźb, będzie praca znanego tak zaszczytnie u nas p. Błotnickiego, przedstawiająca w medalionie Lillę Wenedę, który to medaljon przeznaczony jest w reprodukcji na premium dla prenumeratorów „Tygodnia Polskiego.“ Kiedy mowa o rzeźbie i p. Błotnickim, z przyjemnością przychodzi nam zanotować, że ustawiony w zeszłym tygodniu posąg ś. p. Piusa IX w kościele św. Jura, prawdziwy czyni zaszczyt tak kapitule grecko-katolickiej, jak i pełnemu talentu wykonawcy tego pięknego posągu, p. Błotnickiemu.

Lecz to wszystko, co się dzieje we Lwowie, jeszcze jest niczem w porównaniu z rozbudzającem się życiem ekonomicznem i przemysłowem, o czem wieści dochodzą nas z prowincji. Kolej transwersalna i Kolej Jarosław-Sokal już nie należą do dziedziny marzeń. Poszukiwania nafty na całym terenie podkarpackim idą coraz żywiej i pewniej, dzięki przedsiębranym przez Wydział krajowy i Radę górniczą studjom geologicznym. Tu i tam formują się spółki z dość znacznemi kapitałami, a wszystkie ożywione są lepszą nadzieją, mającą dziś pewne szanse powodzenia. W Truskawcu, znanem miejscu kąpielowem, będziemy mieli założoną fabrykę wyrobu kwasu siarczannego i kopalnię ołowiu, żegluga łańcuchowa na Sanie w połączeniu z Wisłą i Gdańskiem wkrótce nie będzie już marzeniem... A tu Bank rolniczy, wielki Bank krajowy, Szkoła weterynarji, melioracja na większą skalę i tyle innych zamierzonych przedsiębiorstw, są niewątpliwą oznaką, że czas drzemki galicyjskiej już przeszedł niepowrotnie.

Wobec tego rozbudzającego się życia i działalności na każdem polu, jakiegoż zawodu doznawać musi taki autor Leopolitanów w warszawskiej „Prawdzie“, zrobiwszy z nas ogłupiałe i zdziczałe społeczeństwo, zamieniające się szybkim krokiem na „gorylów.“ Pospieszył się trochę z wypowiedzeniem swej przepowiedni, która jeżeli na kim, to najprędzej na jego własnej osobie sprawdzić się może, jeżeli już sam zwiędłą trawę swej myśli zaczyna przeżuwać w Szczutku.

Z piosnek wiośnianych.

Akademją, twój ogródek.
Prześliczna lilijka blada,
Przy pomocy niezabudek
Wiedzę miłości wykłada.

Pojętni uczniowie dokoła
Pilnie słuchają jej mowy:
Tulipan, astra wesoła,
Piwonja, goździk różowy,

Rezeda, pyszna korona
I kilka tłustych balsamin...
Lecz róży nie ma... o! ona
Dawno już zdała egzamin.

St. Rossowski.

URYWEK Z PODRÓŻY PO NORWEGJI *)

III.

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO.

I.

W górach.

Treść: Z życia chłopów. — Pożywienie w górach. — Sposób podróżowania. — Karriole. — Burza. — Gościnność. — Norweżanki i Angielki. — Charakter Chrystjanji i Norwegczyków. — Przykłady z życia. — Kwestja teatru i opór ze strony stortingu. — Jak się kształtuje życie społeczne? — Brak arystokracji i wielkoświatowych zdechlaczków. — Prostota społecznego ustroju i przyczyny. — Nerwegscy miljonerzy.— Pożegnanie.

Błądziłem już kilka dni po okolicach Kallingdalu. Przejeżdżałem niby okolicę wymarłych. Chaty puste. Miejscami tylko spotykałem siwych już chłopów lub niedorostków. Kobiety poszły w góry z bydłem pozostawiając domy pod opieką starców, lub na łaskę boską. Natura tedy przedstawiała się jeszcze bardziej dziką, bo pustą, bo brakło jej ludzi, tego głównie ożywiającego ją czynnika. Osieroceni starcy żywią się wtedy tęsknotą, twardym fladbröd i „mlekiem norwegskiem“. Jest to najzwyklejsze mleko, które postawszy z jakie 3 do 4 miesiące, robi się tak kwaśnem, że częstujących niem gościnnych chłopów, możnaby posądzić co najmniej o zabójcze względem wędrowca zamiary. Mają oni jednak w chwili wspaniałomyślności, starszą jeszcze od mleka szynkę, lub przyprószone już wewnątrz stęchlizną jajka. Wtedy zmięszawszy to wszystko razem, przygotowują bigos, jakim pewnie w piekle odkarmiają wyrafinowanych za życia smakoszów. O pokarmie mięsnym ani marzyć. Uśmiecha się tedy dobrotliwie Peterson, gdy mu coś o tem napomkniesz, proponując, byś poczekał do jesieni lub zimy, wtedy bowiem zbierają się wszyscy z gór i zabijają woły, na chwałę ich żelaznych żołądków. Szczęśliwyś tedy, jeżeli ci losy pozwoliły zabrać z sobą kilkadziesiąt nabojów, a litościwy jaki zając zmiłuje się nad tobą i przesunie przed oczami. Lecz i jemu snać życie grudą idzie w tutejszych lasach, wyrodził się bowiem zupełnie od swych polskich towarzyszy wielkością i smakiem, przypominając zaledwie nędznych królików. Tej to może okoliczności zawdzięcza on, że mu spokojnie biegać pozwalają. Lecz cóż znaczą te drobne przykrości podróży w obec okazałości norwegskiej natury! Wszystkie bo jej cuda zbiegły się w tem miejscu, jakby chcąc olśnić czy podbić przebywającego w pośród nich turystę...

Droga mknie małą drożyną przerzynającą potężny łańcuch gór Jotunfjeldene. Unosząca mnie karjola, najspokojniej pędzi z wysokich gór z wytrwałością, z jaką się na nie podnosi. Ciągnący nas drobny koń norwegski, widocznie lubi samoistność. Zżyma się, kiedy hamujesz go wędzidłem, rzuca się gwałtownie, kiedy uderzysz go batem, ale puść go samopas, a pobieży z wysileniem ostatnich sił swoich. Popuściłem mu też chętnie wodze, co zrobiłem już dawno z memi marzeniami...

Koń wetknięty tedy między parę hołobli karyoli, sunie bystro z wyżyn Brösterudu. W tyle po za mną siedzi młoda dzieweczka norwegska. Zastąpiła ona miejsce brakującego woźnicy. Nie straszy jej taka podróż nocą we dwoje, jak nie straszy jej pewnie samotny powrót do domu. Energicznie opiera swe ręce o me barki, chroniąc się tym sposobem od nagłych i niebezpiecznych skoków rzucającej się w różne strony karyoli. Zimny wiatr nocy muska ją po twarzy, powleka ją bladością i rozrzuca w różne strony bujne sploty jej białych jak len włosów. Nad nami skryły się gwiazdy, ustępując miejsca gęstym chmurom, dziwne kontury gór zlały się w jedną fantastyczną masę, a drzewa zaszeleściały jakby w przewidywaniu bliskiej burzy. Po chwili mocny deszcz lunął. Szczęściem niedaleko Lirerudu ukazały się naszym oczom chłopskie zabudowania, kędy też skierowaliśmy nasze kroki...

Jakaś stara kobieta poprosiła mnie do wnętrza domostwa, gdzie też zastałem już samą panią domu, zajętą przy stole robotą. Po zamienieniu wzajemnych grzeczności, zawiązała się między nami owa szczera i serdeczna rozmowa, zdolność zawiązywania i prowadzenia których posiadają w tak wysokim stopniu i pokrewne im pod wielu względami angielskie kobiety. Znajomość chwilowa przeobraża się wtedy nieomal w bliższą zażyłość. Czuje się bowiem na każdym kroku, że słowa dyktuje nietylko czczy konwencjonalizm, ale i szczerość. Angielki zawdzięczają może tę właściwość systemowi wychowania, Norweżanki — zasadom panującej tutaj społecznej równości, a raczej nieistnieniu różnic między klasami społecznemi w europejskiem znaczeniu tego wyrazu. Wydaje się to może pozornie — paradoksem. W gruncie jednak rzeczy, czując całą „bezowocność“ pięcia się w górę, kobiety tracą nienaturalność i przymus. Jest to w dodatku prawdopodobnie jedna z główniejszych przyczyn, dla których kobiety norwegskie zachwycają zwykle turystów. Nie są one bynajmniej piękne, ani też nie mają w sobie owej „sweetness“, cechującej angielskie missy, ale odznacza je w zamian zachwycająca naturalność dzieci, umiejących pogodzić swe słowa z uczuciem, a ruchy z głosem natury. Takiemi są chłopki w górach, takiemi i mieszkanki miast. Pani S., jak się przekonałem z jej rozmowy, podróżowała bardzo wiele, sądy wypowiadane przeto przez nią, były dla mnie bardzo cenne.

— I nie przykrzy się pani? — spytałem ją po chwili.

— Po czem — po Chrystjanji! — odrzekła mi na to. Czyż i nasza stolica nie jest wybornem odbiciem naszego życia i ona bowiem także robi raczej wrażenie wielkiej wsi niż dużego miasta. Domy spotyka się tam, co prawda, okazałe, ale życie płynie w nich również spokojnem korytem. Rozwijający się handel, zwiększenie bogactwa i ludności usiłują ją, co prawda, wyciągnąć na szerszą widownię, ale wszystko to napróżno...

— Co do mnie przypisałbym to może raczej wpływom waszej religji, jak specjalnie norwegskiego ducha...

— Przykład Danji przekonałby pana o mylności tego mniemania. Jak wszyscy górale, wolimy spokój i naturę, niż wszystkie szumne zabawy. Powstało u nas w Chrystjanji Tivoli na wzór istniejącego w Kopenhadze. Wszystkie koszto-

*) Cała ta podróż po Norwegji, której autorem jest znany podróżnik i literat p. Jan Finkelhaus, nadzwyczaj barwnie i zajmująco napisana, ukaże się wkrótce w wydaniu «Bibljoteki Mrówki». (P. R.)

wne usiłowania jego założycieli, by dorównać swemu wzorowi, rozbiły się o obojętność ogółu, który woli przejażdżkę po fjordzie lub przechadzkę w góry, niż widok woltyżerów lub słuchanie szansonetek. Ale oto zbogacę pana jeszcze jednem spostrzeżeniem.

Mówiąc to, pani S. wzięła dziennik ze stołu i wskazując mi na jeden z drukowanych tamże artykułów, dodała:

— Już od lat kilku starają się u nas o założenie opery. Izwed Josephson stanął na czele, zebrał potrzebne środki sceniczno-wokalne, ale wszystko rozbijało się o subsydjum rządowe. Storting dwa razy odmówił temu żądaniu — wybuchnął pożar w dziennikarstwie i oto dziś ostatnie jego płomienie...

— Sympatyczne przynajmniej dla opery.

— Ależ przeciwnie; oto jeden z naszych postępowych organów przyznaje stortingowi najzupełniejszą słuszność.

— Ależ to przesadzona pruderja...

— Stoisz pan, być może, na gruncie poglądu swego, ale nie naszego narodu. Jeden z chłopów, który najsilniej przemawiał przeciw operze, bronił odmowę następującemi argumentami:

„Norwegja jest krajem chłopów, a Chrystjanja nie jest znów iego stolicą w zwykłem znaczeniu tego wyrazu. $^9/_{10}$ obywateli nie zawita do niej ani razu podczas swego życia, lub też przyjeżdżają niezmiernie rzadko, a trudno znów żądać od nich, by płacili za zabawy Chrystjańczyków. Jeżeli jednak miasto wzrośnie z czasem w ludność i zasoby, wtedy mogą sobie nietylko jeden, ale nawet kilka założyć teatrów. Będą to zabawy o wiele przyjemniejsze, bo odbywane własnym kosztem, a nie za żebraninę wyłudzoną od całego narodu."

— Nie wiem czy pana przekonywają te argumenta, ale Norwegczyków w zupełności one zadowolniły...

— Dziwnie się jakoś kształtuje tutaj życie społeczne — rzekłem po chwili, nie wiedząc, co na powyższe odpowiedzieć.

— Znów z punktu pańskiego. Powiedz pan zamiast dziwnie — prosto, a będziemy ze sobą w najzupełniejszej zgodzie. Przyznaj pan zresztą, że trudno o kraj, gdzieby życie różnych warstw społecznych tak mało zbaczało od ogólnego typu jak w Norwegji. Przyjrzał się pan teraz życiu w górach — w mieście tryb życiowy różni się tylko o tyle, o ile warunkuje je odrębność zajęć jej mieszkańców...

— A różnica zamożności?

— Wływa, rozumie się, jak wszędzie, na wewnętrzny komfort domowy, ale nie zmienia wyrażonego przezemnie poglądu. Nie ma u nas złotych młodzieńców, wielkich pań — jednem słowem, owego „high lifu," jaki mają wszystkie narody, a raczej duże miasta w wielkim i kopiujące je małe w mniejszym stopniu. Główną bo może przyczyną tego jest to, że brak w naszem społeczeństwie „utytułowanych." Naturalnym bowiem biegiem rzeczy, wypływają oni na powierzchnię społecznego życia, dokąd znów sztucznym dostają się zamożni. Za szeregiem „należących," następuje zwykle szereg „okazujących," że należą do śmietanki towarzyskiej i tak aż do nieskończoności. Przymus zastępuje wtedy naturalność, rozkosz — oszczędność. Znajdują się co prawda i u nas miljonerzy, ale jest ich zaledwie kilku, a w ogóle nie ma wybitnych różnic między stanem majątkowym...

— A owi miljonerzy?...

— Stanowią kroplę w morzu. Przekonani, że na szali nie zaważą, albo wypływają po za jej brzegi, lub też w przyjemności wypełnionego dla kraju obowiązku, szukają kompensaty za rozkosze wielko światowego życia...

Lecz otóż i natrętny jak zwykle księżyc przedostał się do pokoju. Klnąc go tedy w duszy, jak zdradzony jego światłem kochanek, zabrałem się do wyjazdu...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZYGODA

jaka spotkała w Anglji myśliwego, co strzelał do lisów.

Baron K. był jednym z najprzyjemniejszych młodzieńców, jakich mi się kiedykolwiek spotkać zdarzyło...

I w samej rzeczy, łączył on w sobie wszystkie przymioty niezbędnie potrzebne, aby się stać ulubieńcem wyższych kół towarzyskich. Liczył lat wieku dwadzieścia pięć, przytem posiadał kształtną wysoką figurę, pełne wyrazu, ciemne oczy i śliczne, małe, wyzywające wąsiki. Cóż tedy dziwnego, że kobiety przepadały za nim. Ale swoją rycerską otwartością i pochodzącą z serca, więc zniewalającą wesołością, umiał on sobie także zjednywać wszystkich mężczyzn, mających jakikolwiek z nim stosunek. Mówił biegle kilku językami, a w opowiadaniu był tak zajmującym i dowcipnym, że nawet w paryskich salonach mógłby się jaknajświetniej pod tym względem przedstawić. Tańczył wybornie, śpiewał wcale dobrze miłym barytonowym głosem, grał biegle na fortepianie, a w konnej jeździe, fechtowaniu i strzelaniu nietylko że nikomu nie ustępował, lecz nawet z trudnością mógł znaleść godnego sobie rywala! Do tego potrzeba jeszcze zaliczyć arystokratyczne pochodzenie, tudzież majątek, według pojęć na stałym lądzie przyjętych, dość znaczny, dozwalający mu od samego dzieciństwa rozwijać talenta, jakiemi od natury obdarzonym został i w odpowiednim takowe przedstawiać blasku.

Poznałem się z nim w Londynie, na wiosnę roku 1874.

W owym to czasie, wzburzone fale tak nazwanego »*seasonu*« dochodziły do zenitu swojej wysokości, a on, jak się zdawało, nie czyniąc żadnego oporu, bujał na nich w najlepsze. Dnie i noce upływały baronowi K. pomiędzy »*evening parties*«, klubami, Hydeparkiem, obiadami i teatrami. Frak i biały krawat, zdawało się, przyrosły mu do ciała, a jeżeli kto chciał z jaką taką pewnością zastać go w eleganckiem mieszkaniu na Brutton-Street, to musiał przyjść pomiędzy 5 a 11 godziną przed południem i mieć odwagę zbudzić go ze snu głębokiego.

Wprowadzony do towarzystwa angielskiego przez hrab. B., ambasadora austro-węgierskiego, miał nasz K. wstęp do najznakomitszych rodzin. Nie było tak znacznego domu, gdzieby go z pewnością przynajmniej raz na dwa tygodnie nie można było spotkać, wyśpiewującego węgierskie narodowe pieśni, wygrywającego *Csardasy*, któremi cały świat zachwycał. W salonach bardzo często »*nice Hungarian*« stawał się jedynym przedmiotem rozmów pomiędzy starszemi wiekiem a młodszemi damami i kiedy razu jednego, wbrew zwyczajowi panującemu w Anglji, *sir* Fryderyk K. ukazał się w salonie Aldermana w złocisto szamerowanym huzarskim mundurze porucznika od honwedów, takie sprawił zamięszanie pomiędzy płcią piękną, iż nawet obecność młodego indyjskiego księcia Tamula, odzianego w świetnie lamowany kaftan, z kaszmirowym na głowie turbanem, na którym błyszczał rubin niezmiernej ceny, nie była w stanie zmniejszyć powszechnego uwielbienia, jakie nasz baron swoją osobą wywołał...

Ulubieniec ten wielu kół towarzyskich, przyjmowany wszędzie z otwartemi rękami, zasypywany dziennie pół tuzinem wszelkiego rodzaju zaprosin, oddawał jednakże widocznie pierwszeństwo domowi Jerzego F. *Sir* F., członek parlamentu, reprezentant jakiegoś hrabstwa, jest zarazem jednym z najprzedniejszych w Anglji sportsmenów. Nie ma szaleństwa, któregoby już na tem polu nie dokazał; raz nawet o mało nie skręcił karku polując na lisa. W Wimbledon zdobył puhar przeznaczony przez królowę za najcelniejszy strzał; w grze *Cricket* przed piętnastu laty był najdzielniejszym z całego hrabstwa zapaśnikiem, a jeżeli wtedy nie otrzymał stanowczego zwycięstwa, to jedynie z tego powodu, iż miał nieszczęście walczyć z najpierwszym współzawodnikiem połączonych królestw Wielkiej Brytanji. Ale ulecz w walce z takim przeciwnikiem jest jeszcze zaszczytniej, aniżeli odnieść zwycięstwo nad panem Nabody! W bibljotece Jerzego F. znajdowały się kompletne roczniki myśliwskie w bogatej a zbytkowej oprawie. Wspaniałe dzieło Izaaka Waltona o sztuce łowienia ryb na wędki, posiadał F. egzemplarz z pierwszego wydania, który nabył przypadkiem za 115 gwinei, na licytacji u Wasona et Comp. Pokój zaś służący do przyjmowania gości, zawieszony był bogatą kolekcją wizerunków psich, harapników, biczów, modelów siodeł i innych narzędzi sportu, tudzież ogonami lisiemi ułożonemi w gustowne trofea, świadczącemi na pierwszy rzut oka o czynnym udziale szanownego gospodarza domu w szlachetnych myśliwskich zabawach i o sławie, jakiej z tego powodu w świecie łowieckim używał.

Widzimy tedy, iż osoba Mr. Jerzego F. niepospolitego była znaczenia i nie powinniśmy się dziwić, że baron K. oddawał pierwszeństwo jego domowi, chociaż nie zdaje mi się, ażeby to miał być jedyny powód ciągnący go tak często do wytwornych salonów na Albion-Street. Pan F. posiadał także córkę 19-letnią, cudownie piękne stworzenie, słusznego wzrostu i nadobne w ruchach, o płci różowego odcienia, który to godny pozazdroszczenia przymiot, natura niby spadek lub dar narodowy, udziela Angielkom jeszcze w kołysce: a do tego wszystkiego oczy, niebieskie i pełne wyrazu oczy, na które nie można było spojrzeć, ażeby nie wpaść w głęboką poetyczną zadumę... Mamy więc dość słusznych powodów do mniemania, iż raczej *miss* Bridget, aniżeli jej papa, była owym magnesem, przyciągającym naszego przyjaciela do domu na Albion-Street...

Stosunki przyjaźni pomiędzy baronem K. a panem F. przybrały wkrótce pozory wielkiej zażyłości. Młody Więgier i piękna *miss* Bridgett jeździli sami na spacery do Hydeparku; w Drury-Lane i Her-Majesty widywano ich zawsze w jednej loży; w wycieczkach na Ascott, nie brakło

barona K. nigdy w gronie rodziny F. Krótko mówiąc, nikt nie wątpił, że tu było coś więcej jak prosta tylko *fashionabl* znajomość...

I w samej rzeczy, baron K. oświadczył się w całej formie pannie Bridget; ona upoważniła go, aby pomówił o tem z mamą i zapłonąwszy rumieńcem dodała, iż z jej strony nie omieszka poprzeć tak „rozsądnych życzeń jego". Co się zaś tyczy papy, ten uczynił jeszcze krok więcej: bo u osób, które barona K. wprowadziły do jego domu, zasięgnął już dokładnych wiadomości, dotyczących jego rodziny i stanowiska, jakie w swojej ojczyźnie posiadał. Majątek nie odgrywał tu żadnej roli, gdyż *miss* Bridget, według zapewnienia osób interesowanych, mogła posiadać rocznego dochodu 200,000 guldenów, czyli dziesięć razy więcej, aniżeli baron K. mógł z niejaką pewnością ze swej strony wykazać.

Szczęśliwy narzeczony zaniechał pomału stosunków z wielkim światem, aby się wyłącznie oddać *miss* Bridget, którą już mógł nazwać *swoją* Bridget; wieczory z nią jedynie przepędzał, a wtedy tylko pojawiał się w towarzystwach, gdy wiedział, że ją tam zastanie...

Pewnego wieczoru znajdował się na herbacie w małem kółku rodzinnem pana F., jak to już w ostatnich czasach często się zdarzało. W pokoju nie było nikogo więcej, jak tylko pan, pani, panna F. i nasz przyjaciel. Rozmowa toczyła się o rzeczach dotyczących sportu. Pan F. zapytał, czy w Węgrzech polują także na lisy?

— O i jak jeszcze! — rzekł baron K. z żywością. — W wielu okolicach Węgier jest takie mnóstwo lisów, jak tutaj naprzykład zajęcy. Ja sam, w jednym tylko dniu zastrzeliłem ich pięć sztuk...

— Co? — zawołali jednocześnie pan i pani F., pierwszy wzniosłszy się na biegunowym fotelu do kulminacyjnej wysokości, druga wypuściwszy z rąk filiżankę z herbatą, podczas gdy Bridget nie była w stanie powstrzymać się od wydania przytłumionego okrzyku przerażenia.

Baron K. zamilkł mocno zmięszany. Nastała krótka a przykra pauza. Nie mógł zrozumieć dlaczego jego słowa takie zdziwienie wywołały i przyszła mu nieszczęśliwa myśl do głowy, iż może to co mówił wydało się słuchającym przesadą. Więc po chwili namysłu dodał z pewnym rodzajem nieśmiałości:

— Ale proszę mi wierzyć, iż mówię prawdę, w ciągu jednego dnia zastrzeliłem pięć lisów, a polując z obławą więcej nawet!

— Oh! — zawołał tylko pan F. *Miss* Bridget rzuciła na barona błagające spojrzenie, które go jeszcze więcej zmięszało, bo nie rozumiał o co tu właściwie idzie. Pan F. zadzwonił na służącego, ażeby pozbierał kawałki stłuczonej porcelanowej filiżanki...

Biedny baron nie wiedział teraz co począć! W końcu ośmielił się zapytać pani domu, co mogło ją przestraszyć. Atoli zimnemu jak lód spojrzeniu towarzyszyła odpowiedź:

— Oh, nic; mały napad nerwowy, »*but it's over now!*«

Pan F. przypomniał sobie nagle, iż ma do odczytania długi raport parlamentarny, który mu dzisiaj nadesłano, a nawet Bridget zauważyła, że ma mocny ból głowy. Niepodobieństwem było pojąć co się stać mogło. Baron K. wstał, pożegnał towarzystwo życząc dobrej nocy i wyszedł. Lecz uderzyło go to, iż gospodarz domu nie podał mu na pożegnanie ręki do uściśnienia, a gospodyni wbrew zwyczajowi zapomniała przy rozstaniu dodać: „do prędkiego widzenia się."

Ze smutkiem w sercu i szumem w głowie, baron K. udał się piechotą do domu. A chociaż dopiero była jedenasta godzina, nie miał przecie chęci ani usposobienia do udania się pomiędzy ludzi. Z godzinę chodził po parku, gubiąc się w domysłach i wysilając napróżno umysł nad odgadnieniem i rozwiązaniem tej niepojętej dla niego zagadki. Było już po północy, gdy położył się do łóżka, lecz pomimo, że szerokością swoją równało się jednemu sypialnemu pokojowi na kontynencie, przecież baron nie zdołał na chwilę zasnąć, tylko nieustannie przewracał się na wszystkie strony.

Na drugi dzień zdecydował się na krok stanowczy. Postanowił udać się do pana F. i zażądać szczerego i bez ogródki wyjaśnienia wczorajszej sceny. Z bijącem sercem czekał do godziny pierwszej i zaledwie zegar takową wybił, gdy nie bez pewnego wahania się pochwycił za ucho znajomej dobrze bramy na Albion-Street i uderzył niem w żelazną płytę. Odźwierny otworzywszy bramę, z dziwną jakąś miną powiedział, iż nie ma nikogo w domu.

— Nawet pani F. niema?

— Nikogo.

— Nawet panny F.?

— Ach panie, jużem dwa razy powiedział, że nie ma nikogo w domu!

— Kiedyż państwo powrócą?

— Oh, to trudno zgadnąć. Dzisiaj nie, jutro także nie... Kto może zgadnąć?

Baron K. zmierzył pogardliwym wzrokiem służącego i odszedł...

Sposób, w jaki odźwierny drzwi zatrzasnął, zdawał mu się być jedną jeszcze więcej obelgą. Ale cóż było czynić? Przedewszystkiem musi wiedzieć prawdę, — prawdę za jakąkolwiek bądź cenę! Na rogu Oxfordstreet i Tarklane wszedł do handlu papieru i napisał kilka słów do pana F. Poczta londyńska z szybkością nadzwyczajną załatwia listowe przesyłki. W półtory godziny później dało się słyszeć podwójne uderzenie do drzwi domu zamieszkałego przez barona K. Gospodyni jego wręczyła mu list, który on wyrwał jej z rąk gwałtownie, lecz dla tego tylko, ażeby w chwilę później wypuścić go z osłupieniem na ziemię... Był to własny list barona, na którego odwrotnej stronie p. F. dopisał te słowa:

»*Not acceptet. Return to Mr. le baron K.*« (Nieprzyjęty! Zwrócony baronowi K.)

W godzinę później zasiadł nieszczęśliwy młody człowiek w eleganckiej czytelni *Army-and Navy-Club*, gdzie go jeden z przyjaciół na czas kilkotygodniowy jako gościa wprowadził. Trzymał właśnie w ręku wyszły świeżo dziennik *Echo*, ale go nie czytał, tylko siedział pogrążony w głębokiej zadumie. Rysy jego twarzy były tak zmienione i zdradzały tak wielki wewnętrzny niepokój, że nie potrzeba było być wielkim obserwatorem, ażeby się domyśleć, iż coś ciężkiego leżało mu na sercu. Ale nie trwało to długo, gdyż właśnie jeden z najpoufalszych jego przyjaciół kapitan W., wszedł do czytelni a obejrzawszy się za znajomymi, obaczył barona K. i przybiegł uścisnąć dłoń jego, mówiąc:

— Co za powód sprowadził pana tutaj o tak niezwykłej godzinie, *old fellow?*

Lecz spojrzawszy mu bystro w oczy, dodał lecz już głosem zmienionym:

— Ale co panu jest... czyś pan nie chory?

Bolesny i cierpki uśmiech pojawił się na ustach barona.

— Chorym nie jestem — odrzekł lecz bliskim zwarjowania! Bóg mi pana zesłał... będziesz mi pan może w stanie objaśnić. Słuchaj pan. Wczoraj wieczorem byłem u F...

— Już wiem — przerwał kapitan uśmiechając się tajemniczo.

— A więc byłem u F, rozmawialiśmy jak najprzyjemniej o rozmaitych rzeczach; opowiadałem właśnie jak na Węgrzech udawało mi się w ciągu jednego dnia zastrzelić pięć a nawet więcej lisów...

— Co? — zawołał kapitan ostrym głosem — pan chcesz zapewne powiedzieć, że przyczyniłeś się do pozbawienia ich życia!

— Nie, zastrzeliłem własną ręką!

— Oh, już widzę... — powiedział kapitan, ale takim tonem, że baron K. poczuł zimno w kości pacierzowej i nie dodawszy więcej ani słowa, wykręcił się na obcasie, poszedł do najbliższego stołu, wziął jakiś dziennik i zasiadł na fotelu...

Baron osłupiałemi oczyma popatrzył na niego z minutę, potem podskoczył jednym susem i pochwyciwszy drżącą ręką za ramię, wrzasnął mu do ucha:

— Więc i pan także... a to czyste sprzysiężenie! Lecz musisz mi się pan wytłumaczyć! Nie, nie puszczę pana dopóki się nie wytłumaczysz!

Kapitan powstał i z całą zimną krwią, na jaką tylko Anglik zdobyć się może, zmierzył pogardliwym wzrokiem młodego człowieka i wzruszywszy ramionami, wyrzekł te słowa:

I don't wisch to have anything to do with you, Sir! (Nie życzę sobie z panem mieć cokolwiek do czynienia!)

Dwóch czy trzech panów zajętych w sali poczęło na nich zwracać uwagę. Kapitan, powiedziawszy ostatnie słowa, oddalił się wolnym krokiem z czytelni, zostawiając barona wzburzonego do najwyższego stopnia. Siadłszy na fotelu, podparł rękami głowę i myślał — o niczem. Atoli niedługo w tej pozycji zostawał, bo nie upłynęło dziesięć minut jak jeden ze służących podszedł do niego i skłoniwszy się z uszanowaniem, podał mu bilet na srebrnej tacy.

Baron K. pochwycił go, pobieżnem pismem skreślone były tylko słowa następujące:

»*Upon an oral repord made by Captain W. the sekretary of the Army and Navy club, begs to inform Mons. le Baron de K, that he shall not be considereb any longer the guest of our club!*«

(Na skutek ustnego zeznania, złożonego przez kapitana W., sekretarz *Army adn Navy* klubu ośmiela się zawiadomić barona K. iż tenże nie może być dłużej uważanym za gościa rzeczonego klubu.)

Baron nie wyrzekł ani słowa, ścisnął konwulsyjnie bilet w ręku, schował go do kieszeni i wyszedł...

Udał się prosto do austrjacko-węgierskiego poselstwa, tam zastał przyjaciela, którego prosił aby mu nie odmówił udziału swojego w sprawie honorowej. Przyjaciel wzruszył ramionami i odrzekł, iż tego uczynić nie może, jeżeli wy-

zwany jest Anglikiem. Zresztą radził mu, ażeby się miał na ostrożności, gdyż władze angielskie w tym względzie nie lubią żartować.

Baron K, wypadł wściekły z poselstwa; jedno tylko uczucie opanowało go całego, uczucie zemsty. Kapitan W. jako oficer, a do tego oficer *horseguards*, musi mu dać zadosyćuczynienie. Nie troszcząc się już więcej o sekundanta, udał się do domu i napisał do niego list, wyzywając kategorycznie do stawienia się z bronią w ręku, w przeciwnym bowiem razie ogłosi go za nikczemnego tchórza i na publicznej drodze ukarze.

Wysławszy list na pocztę, baron K. uspokoił się nieco. Przez cały wieczór nie wychodził z domu i pocieszał się nadzieją, że kapitan W. nadeśle mu niezwłocznie odpowiedź. Tymczasem było już wpół do dziewiątej; ostatnie podwójne uderzenia listonoszów przestały się rozlegać po ulicy, a do wrót jego domu tym razem nikt nie pukał. Nawet następny poranek upłynął na próżnem oczekiwaniu, aż dopiero późno już po południu wręczono mu pismo w którem west minsterski sąd policyjny wzywał barona, ażeby o godzinie 11 przed południem stawił się nazajutrz punktualnie w biurze, w przeciwnym bowiem razie postąpione z nim będzie podług prawa itd. i t. d.

Baron K., coraz wiecej zdziwiony, nie wiedział już co miał myśleć o sobie, o Anglikach, o całym bożym świecie. W głowie mu się przewracało i poczuł się istotnie chorym. Godziny upływały mu pośród tego rodzaju okoliczności, oczywiście bardzo wolno, pójść gdzie na wieczór pomiędzy ludzi nie miał najmniejszej ochoty; zdawało mu się w końcu, że w ciągu tych dwóch dni przeżył przynajmniej lat dziesięć...

Kiedy nazajutrz, punktualnie o 11. godzinie przed południem, baron stawił się w Westminister u Aldermana, sprawującego urząd sędziowski, naprzód był świadkiem jak jednego *Cabmena* skazano na zapłacenie 4 szylingów 6 pensów kary za to, iż poważył się od gościa, którego przewoził, wymagać o 3 pensy wyżej nad taryfę zapłaty, a potem zaraz posłyszał jak jego własne imię wywołano; poszedł przed stół sędziowski i zapytał co od niego żądają...

Sędzia pokazał wówczas baronowi list adresowany do kapitana W. i zapytał czy zna to pismo.

Baron K. odpowiedział że zna...

— Czy przyznaje się do autorstwa tego listu.

Baron odpowiedział — że przyznaje się.

— Czy tu szło tylko o żart, czyli też zawierające się w nim wyzwanie i groźby serjo były napisane?

— Bardzo serjo — dodał baron.

Na to dobitnym głosem odzywa się sędzia:

— Powinienbym z powodu chęci zaburzenia publicznej spokojności i niebezpiecznych pogróżek skazać pana przynajmniej na trzy miesiące ciężkiego więzienia obostrzonego przymusową pracą, ale zważywszy, że jesteś popędliwym, zarozumiałym młodym człowiekiem i nieznającym praw krajowych, skazuję pana tylko na zapłacenie 50 funtów szterlingów kary. W dodatku masz pan przedstawić obywateli, którzyby poręczyli swoją osobą, jako przez sześć miesięcy zachowasz się pan spokojnie *(to keep the peace for six monthus)*, bo w razie uczynienia przez ten czas jakichkolwiek odgróżek, więzienie nie ominie pana z pewnością!

W kilka dni potem zdarzeniu spotkałem barona K. w zoologicznym ogrodzie. Udałem się tam właśnie z przyjacielem moim Anglikiem, człowiekiem posiadającym wiele doświadczenia światowego i autorem cennych podróży, dla obejrzenia nowo-nabytych rzadkich zwierząt. Znalazłem barona wielce zmienionym, mizernym, a nawet mu to powiedziałem. Na co on uśmiechnąwszy się gorżko odpowiedział:

— Nie wymagaj pan tylko odemnie, abym mu opisywał przyczyny, które mię do takiego stopnia doprowadziły; doprawdy, gdyby mię miało jeszcze coś podobnego spotkać, co mi się już dwa razy przytrafiło, to nie wiem coby się ze mną stało.

Nalegałem jednak, aby mi wszystko opowiedział; po długiem wahaniu zdecydował się nareszcie...

Wysłuchawszy całej historji, nie wiedziałem co mówić; tak samo bowiem jak baron K. nie mogłem zrozumieć, o co tu właśnie chodzi. Tylko przyjaciel mój Anglik w końcu wybuchnął głośnym śmiechem; popatrzywszy przez jakiś czas na barona, rzekł:

— A więc pan nie wiesz o tem, iż zastrzelenie lisa, albo zabicie go w jakikolwiek inny sposób a nie za pośrednictwem gończych psów, konia lub harapnika jest uważanem przez większą część moich współrodaków za najnikczemniejsze przestępstwo, równające się ukradzeniu pieniędzy? W całej Anglji nie znajdziecie panowie jednego nawet *gentlemena*, coby podał rękę człowiekowi, któremuby dowiedziono, że ubił wystrzałem lisa! Lis zabity z fuzji? Cha, cha, cha!

Prawdziwie, że o tem obydwa nic zgoła nie wiedzieliśmy; baron K., strapiony ciężko na duszy, opuścił wkrótce Anglję i nie dziwiłbym się wcale, gdyby o wyspie i jej mieszkańcach, niekoniecznie przychylnie się wyrażał...

A teraz na zakończenie jeszcze słówko.

Kto niniejszą rzecz uważa za nudną, słabo opowiedzianą, lub nieprawdopodobną, temu na moje usprawiedliwienie powiem tylko, iż co do litery jest prawdziwą...

M. K.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** *Książki na nagrody pilności dla dzieci.* Towarzystwo pedagogiczne zajęło się wydawnictwem książek dla dzieci i wydało takowych cztery, o których wspominaliśmy w jednym z ostatnich numerów „Tygodnia. Ocenę ich pozostawiamy na później. Tu tylko chcemy sprostować mylne twierdzenie Towarzystwa pedagogicznego, powtórzone przez dzienniki, że w literaturze naszej nie posiadamy odpowiednich dziełek, a jeżeli i są to zbyt drogie. Prawda, że literatura ludowa nasza jest bardzo ubogą, że dla dzieci ludu (bo o takie tu idzie) bardzo nie wiele mamy książeczek, ale zanegowanie tego co jest, staje się krzywdą dla dotychczasowych pracowników na tej niwie. I tak p. Al. Nowolecki wydał w Krakowie kilkadziesiąt książeczek prawdziwie wyborowych, pióra Anczyca, Gregorowicza, Grajnerta, Stelmasiewicza, Michny, Janoty, Jachowicza, Goczałkowskiej Kazim. Promyk wydał w Warszawie kilka dziełek, które krytyka bardzo wysoko oceniła; we Lwowie wyszedł cały szereg dziełek Piotra Zbrożka prawdziwie użytecznych; Adam Wiślicki w Warszawie rozpoczął podobneż wydawnictwo i wydał już 10 książeczek. Ksiądz Bażyński w Poznaniu wydał bardzo wiele i bardzo cennych dziełek dla ludu. P. Myszkowski z Jarosławia wydał kilka wybornych powiastek ludowych. Gdy do tego dodamy pojedyńcze wydawnictwa różnych wydawców, to utworzy się spora bibljoteczka, że nie wspominamy tu o rzeczach mniej przychylnie przez krytykę przyjętych. Jest to zapewne jeszcze nie wiele i przyczynek ze strony Tow. pedagogicznego jest także pożądanym — ale byłoby bardzo a bardzo smutno gdyby to co toż towarzystwo wydało było już wszystkiem. Dziełka tu wyliczone nie są wcale droższe od wydanych przez Tow. ped., owszem są to po większej części kilko lub kilkunastocentowe książeczki.

*** P. Bolesław Czerwieński, wydał we Lwowie, nakładem Księgarni Polskiej, tomik swoich Poezyj. Dla wielbicieli talentu p. Czerwieńskiego, jest to miła niespodzianka. O poezjach tych, pomówimy wkrótce obszernie.

*** Sprawozdanie z czynności komisji Zarządu głównego Towarzystwa Pedagogicznego, wydelegowanej do rozpatrzenia spraw szkół średnich, ułożone przez Dr. Karola Benoniego, ukazało się na widok publiczny. Postaramy się wkrótce streścić zawarte w niem uwagi, nader cenne i doniosłe.

*** „Czem chata bogata.“ Kilka wierszy w upominku przyjaciołom. Pod takim tytułem opuściła prasę drukarską książeczka, zawierająca dwadzieścia kilka poezyjek, których autorem jest pan Franciszek Düll.

*** Dr. Hoszowski wypracował rozprawkę o Wicie Stwoszu.

*** Dr. Łepkowski w Krakowie, zebrał już 500 listów Karola Libelta do jego życiorysu.

*** P. Eugeniusz Babiński otrzymał pozwolenie na wydawanie w Warszawie dwutygodnika pedagogicznego p. t. „Przegląd pedagogiczny,“ który rozpocznie wychodzić od października.

*** Pani Sandowska ma podobno wydawać w Warszawie pismo „Pszczółka“ poświęcone pracy kobiecej.

*** Uniwersytet Jagielloński zamierza otworzyć prawdziwy instytut agronomiczny. Stosowny projekt odszedł już do ministerjum.

*** Donoszą nam, iż kółko znajdujących się w Petersburgu studentów Polaków zamierza wydawać w języku polskim „Roczniki“ własnych prac naukowych.

„Rocznik“ pierwszy ukaże się w końcu r. b.

*** Podobno wielki obraz Matejki „Hołd pruski“ został już ukończony.

*** Hipolit Lipiński, wymalował nowy obraz „Przed procesją.“

*** Emil Zola wykończył nowy pięcioaktowy dramat p. t. „Renée, który przyjął do przedstawienia teatr francuski.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.